

gen. bryg. w st. spocz. Marek Konrad Ojrzanowski
marekojrz@yahoo.com

POLEMIKA: ARMIA POD PRĘGIERZEM. NIE REALNYM, ALE WYIMAGINOWANYM PRZEZ GEN. PIOTRA MAKAREWICZA

Recenzje – polemiki. W nr 33 (10–16.08.2015) tygodnika „Przegląd” zamieszczony został wywiad z gen. dyw. w st. spocz. Piotrem, Makarewiczem. Przedstawia on wypaczony obraz polskiego wojska, nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Obraz ten wynika z niewłaściwych przesłanek, pokazujących, że autor wywiadu tkwi w minionej i skompromitowanej epoce „realnego socjalizmu” i w ogóle nie chce lub nie jest w stanie zrozumieć współczesnych warunków funkcjonowania wojska. Takie podejście jest szkodliwe, gdyż podważa zaufanie do naszych sił zbrojnych oraz kwestionuje przydatność ich wyposażenia.

W odpowiedzi na ten wywiad w dn. 17 sierpnia 2015 r. przesłałem niniejszy artykuł do redakcji „Przeglądu” z prośbą o opublikowanie, jednak nie otrzymałem odpowiedzi. Stąd też umieszczam go na tych łamach.

Armia pod pręgierzem. Nie realnym, lecz wyimaginowanym przez gen. Piotra Makarewicza

W ulubionym przez siebie tygodniku gen. dyw. w st. spocz. Piotr Makarewicz po raz kolejny przedstawia negatywny obraz polskiego wojska, skądinąd dobrze wpisując się w modne teraz hasło „Polska w ruinie”. Sęk w tym, że obraz ten nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a gen. Makarewicz udowadnia, że mentalnie tkwi w epoce, która już dawno odeszła do lamusa historii.

Znany slogan mówi, że generałowie najlepiej przygotowują się do minionej wojny i właśnie to gen. Makarewicz, absolwent sowieckiej akademii wojskowej, w pełni potwierdza. Od kilku lat niezmiennie, zarówno na łamach „Przeglądu”, jak i na swoim blogu odnosi stan polskich sił zbrojnych do zasad funkcjonujących w armiach byłego Układu Warszawskiego, sprawdzających się doskonale w działaniach typu bitwy pod Lenino, mających się nijak do współczesnych wymogów bezpieczeństwa, których, co wyraźnie demonstruje, kompletnie nie rozumie.

W udzielonym wywiadzie istotą sformowanych przez gen. Makarewicza zarzutów ma być występująca niewiedza na temat „faktycznej zdolności bojowej naszego wojska”, wynika zaś ona stąd, że nie prowadzi się właściwej formy sprawdzianów, jakim była inspekcja sił zbrojnych. Makarewicz podważa tym samym kompetencje Departamentu

Kontroli MON, który ma takie właśnie obowiązki, porównuje je natomiast do działalności, jaką prowadził podczas swojego dyrektorowania.

Służący w tamtym czasie pamiętają kontrolną zaciekłość inspekcji, skutkującą częstym stawianiem ocen niedostatecznych jednostkom wojskowym, niemającą nic wspólnego z obiektywnością, a wynikającą z niskiego rewanżyzmu (nie został wyznaczony na dowódcę korpusu, na co liczył) i chęci udowodnienia, kto jest w wojsku górą. Ważniejsze jednak było, że tendencyjne, prowadzone według jednego wymiaru taktycznego kontrole, oparte na zasadach ukształtowanych w Układzie Warszawskim (innych Makarewicz nie znał), wyrządziły wojsku ogromną szkodę i hamowały integrację z NATO. Doszło do tego, że dowódcy rodzajów sił zbrojnych prowadzili specjalne szkolenia i wydawali specjalne metodyki, nie po to aby podnieść stan gotowości bojowej jednostek wojskowych, ale by najlepiej wybronić się przed inspekcją Makarewicza. Nie można było więcej zrobić, gdyż działał on pod parawanem biernego i mało znajdującego się na wojsku ministra. Czasy jednak się zmieniły, po wyborach nowy minister postawił na integrację z NATO i za główne kryterium przydatności na wyższych stanowiskach uznał znajomość języka angielskiego, bez którego nie sposób zrozumieć sojuszniczych procedur i współczesnych działań bojowych. Na wielu padł błąd strach i salwowali się ucieczką, składając wypowiedzenia. W tej liczbie znalazł się i Makarewicz, który straciwszy grunt pod nogami, pojął, że czas jego minął i uprzedzając nieuchronne wyrzucenie z wojska, złożył rezygnację. Nowy dyrektor Departamentu Kontroli pierwszą swoją decyzją wyrzucił do kosza wytworzone przez poprzednika instrukcje.

Wojskowy pręgierz gen. Makarewicza

Według gen. Makarewicza są trzy główne czynniki destrukcji wojska: zniszczony system mobilizacyjny i brak ćwiczeń mobilizacyjnych; restrukturyzacja logistyczna pozbawiająca wojska samodzielności logistycznej i reforma systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi prowadząca do rozmycia odpowiedzialności. Przyjrzyjmy się bliżej po kolei tym zarzutom.

System mobilizacyjny i związane z nim szkolenie

Po rozpadzie Związku Sowieckiego i rozwiązaniu Układu Warszawskiego znikło zapotrzebowanie na wielkie masowe armie, mobilizujące rzesze rezerwistów, dysponujące zastępami czołgów i samolotów. Przez dziesiątki lat armie te szkoliły się, ćwiczyły w znoju na poligonach, przygotowując się do wojny, która nigdy nie nastąpiła. Para poszła w gwizdek. W nowej rzeczywistości wszystkie państwa w Europie, licząc się ze swoimi budżetami i wyborcami, zaczęły redukować armie, przechodzić na zawodowstwo, zmieniać doktryny wojskowe, w państwach po byłym UW – z zaczepnych na obronne. Ponieważ armie te stały się członkami militarnego paktu NATO, powołanego do kolektywnej obrony cywilizacyjnych wartości Zachodu, musiał zmienić się ich charakter, co było też udziałem Wojska Polskiego. Zgodnie z wymogami współczesnego systemu bez-

pieczeństwa nacisk położony został na małe, wysoce specjalistyczne struktury dysponujące nowoczesnymi technologiami, działające w formacjach połączonych i międzynarodowych, do tego daleko poza granicami swojego kraju. Zmniejszone i zawodowe wojsko o innym charakterze potrzebuje innego systemu rezerw i innych ćwiczeń. I właśnie takich ćwiczeń polskie siły zbrojne już od wielu lat mają bez liku. Praktycznie nie ma dnia, aby na poligonach w kraju nie ćwiczyły jednostki naszego wojska, samodzielnie i wspólnie z sojusznikami, również często biorąc udział w ćwiczeniach za granicą – na lądzie, morzu i w powietrzu. Na ten temat gen. Makarewiczowi udzielił odpowiedzi kilka miesięcy temu na łamach „Gazety Wyborczej” dowódca Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. To jednak jego nie przekonało. Pozostając wierny utrwalonym w PRL zasadom, wychwala on pod niebiosa siły zbrojne... Rosji (!) za ich intensywne, a nawet „straszne” ćwiczenia.

Jednak z samych ćwiczeń jeszcze nic nie wynika. Poligonowe wojny kończą się zazwyczaj sukcesem, prawdziwe już nie zawsze. W realnych warunkach rosyjskie wojska ponosiły sromotne klęski w Afganistanie, Czeczenii, skompromitowały się, co przyznaje Makarewicz, w Gruzji. Również wyposażone i wyszkolone na sowiecką modłę wojska arabskie doznały druzgocących porażek z Izraelem.

Z tych samych powodów Makarewicz ulega rosyjskiej propagandzie i wie, że wyposażony w „nonsensowne”, jak twierdzi rakiety JASSM, polski F-16 wraz z rakiętą zostanie zestrzelony w locie nad Rosją. Tymczasem doskonale widać, jak wyszkolona jest rosyjska obrona przeciwlotnicza: w ubiegłym roku nie potrafiła odróżnić wojskowego transportowca od liniowego samolotu pasażerskiego, zestrzeliwując go nad Ukrainą. W to, że nie zrobili tego żołnierze rosyjscy, wierzy tylko Kreml, w internecie można znaleźć szczegółowe dane: numer jednostki wojskowej, nazwiska dowódców, ba, nawet numer wyrzutni. Również pamiętamy, że w szczytowym okresie rozwoju imperialnego i napięcia zimnowojennego w 1987 r. niemiecki nastolatek z kretesem ośmieszył sowieckie systemy obronne, lądując Cessną na Placu Czerwonym.

Putin doskonale rozumie skalę wyzwań, z jaką musiałby się zmierzyć, decydując się na otwarty konflikt zbrojny. Dlatego woli, aby na Ukrainie robiły to za niego zielone ludziki i traktorzyści.

Restrukturyzacja logistyczna.

Gen. Makarewicz twierdzi, że obecnie, po restrukturyzacji, jednostki wojsk lądowych stały się „całkowicie niesamodzielne logistycznie”, materiały muszą pobierać ze składów, a w czasie wojny będzie się to działo pod atakami przeciwnika. Pod względem wojskowym jest to argument całkowicie niedorzeczny. Od zarania konfliktów wydzielone struktury, później służby logistyczne, dostarczały zaopatrzenie w warunkach oddziaływania nieprzyjaciela, od tego są. To, że w czasie pokoju zapasy oraz środki dowozu utrzymuje się w specjalnie do tego przystosowanych bazach, centralizując zarządzanie, jest raczej atutem organizacyjnym. Nad całością logistyki w siłach zbrojnych czuwa organ centralny – Inspektorat Wsparcia SZ. Póki co, naszym żołnierzom niczego nie brakowało podczas

realizacji zadań zarówno szkoleniowych na poligonach, jak i tych ważniejszych – bojowych, nawet na znacznie oddalonych teatrach działań: od państw bałtyckich, poprzez Kosowo, Morze Śródziemne, Irak, Afganistan do Czadu i Republiki Środkowej Afryki.

Reforma systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi.

Gen. Makarewicz utrzymuje, że reforma ta powoduje, że nie wiadomo teraz, kto za co odpowiada, wywód swój popierając wymyślonym przykładem. Tu trzeba rzeczywiście złej woli albo kompletnego braku zrozumienia reformy. Właśnie ona porządkuje poprzedni chaos organizacyjny i kompetencyjny, kiedy omnipotentny, przeciążony i przepracowany Sztab Generalny odpowiadał za wszystko, co się dzieje w wojsku, gmatwał się w szczegółach, na sprawy strategiczne nie miał czasu i siły, skutkiem czego panował wieczny bałagan. Przypomnijmy chociaż rozwiązywanie i powoływanie tych samych jednostek wojskowych, czy całych struktur funkcjonalnych, jak np. pionowy szkolenia, służby chemiczne itd., nie mówiąc o rozpoczynaniu i zarzucaniu kolejnych po sobie programów modernizacyjnych. Reforma systemu dowodzenia i kierowania SZ upraszcza struktury i porządkuje kompetencje. Właśnie teraz jest jasne: dowódca Dowództwa Operacyjnego – na czas wojny Naczelny Dowódca – dowodzi wydzielonymi do operacji siłami. Siłami, które na podstawie opracowanego przez niego planu, i przez niego kontrolowanymi przygotowuje dowódca Dowództwa Generalnego. Jasne i proste. Tak zresztą jest w strukturach NATO i jego głównych państwach, nie odkryliśmy tu Ameryki. Poza tym reforma w żaden sposób nie podważa naczelnej zasady w wojsku – jednoosobowego dowodzenia. Umożliwia natomiast wprowadzenie istotnej zmiany jakościowej, która pozostaje poza zasięgiem pojęciowym Makarewicza: połączone – czyli wspólnego działania różnych rodzajów sił zbrojnych.

Gen. Makarewicz ubolewa ponadto nad **uzbrojeniem**, gdyż według niego nasze śmigłowce, czołgi i samoloty to zabawki jednorazowego użytku, ponieważ nie są polskie, są produkowane za granicą i w każdej chwili kraj producenta może wstrzymać dostawy części, podzespołów czy amunicji. Ten argument w czasach, gdy byle detal nosi markę *Made in China* lub *Taiwan* jest najzwyczajniej śmieszny. Czyżby Makarewicz uważał, że żyjemy w autarkii? Przypomnijmy sobie, czego uczy nas historia. Podczas II wojny światowej polskie jednostki wojskowe walczyły zarówno po stronie sowieckiej, jak i alianckiej na obcym sprzęcie. Do tego robili to doskonale: wszak polscy lotnicy niemal uratowali mocarstwo – Wielką Brytanię. Polski przemysł był w ruinie lub znalazł się pod okupantem, polegaliśmy więc całkowicie na zaopatrzeniu sojuszniczym. To zaś w warunkach wojny, przynajmniej po stronie alianckiej, funkcjonowało bez zarzutu. Wszelkie braki, od munduru i menażki po czołgi i samoloty uzupełniane były na bieżąco. Po stronie sowieckiej było już inaczej: system nakazowo-rozdzielczy powodował permanentne braki. Jednostki wojskowe kradły sobie nawzajem szyny kolejowe, aby dostarczać zaopatrzenie, a drugie rzuty pędzono do natarcia bez karabinów.

Przy okazji Makarewiczowi włos się jeży, że kupujemy taką nędzę jak system Patriot – „przestarzały, wszystko sztukowane, klecone”. Rzeczywiście włos się jeży, kiedy

dwugwiazdkowy generał publicznie głosi takie brednie. Patriot, znajdujący się obecnie na wyposażeniu 16 państw, jest jedynym systemem przeciwrakietowym na świecie sprawdzonym w warunkach bojowych z potwierdzoną skutecznością. Kilka innych państw, niektóre od dłuższego czasu, ubiega się o jego pozyskanie. Makarewicz oczywiście wie lepiej i zna lepszy system.

Ponieważ sprawa była na czasie, gen. Makarewicz odniósł się także do **awansów generalskich**. Tu rzeczywiście chciałoby się, aby awanse te powodowane były w jak największym stopniu kompetencją oficera i nagradzały jego dotychczasową postawę i wyniki w służbie. Niekoniecznie też awansom tym musi towarzyszyć obecna celebra z mianowaniem przez prezydenta RP. Powinno być tak, jak przy innych stopniach oficerskich, i jak jest w większości państw NATO, że mianowanie następuje z chwilą wyznaczenia na przypisane do danego stopnia wojskowego stanowisko służbowe. Prezydent i tak mógłby w wyznaczonym czasie nominacje wręczyć. Nie można jednak trywializować, jak robi to Makarewicz, postulując jako główne kryterium awansowe znajomość „życia poligonowego”. Jako negatywny przykład podaje naszego przedstawiciela wojskowego przy NATO i Unii Europejskiej, zarzucając mu wykształcenie ekonomiczne, że pracował w pionie finansowym i w dyplomacji, czyli z „wojskiem ma tyle wspólnego, że nosi mundur”. Trudno o bardziej infantylne zarzuty. Akurat ten oficer był przez wiele lat szefem Departamentu Budżetowego MON, zna więc realnie materialne funkcjonowanie wojska od pojedynczego żołnierza do całości sił zbrojnych. Później był szefem logistyki w międzynarodowym sztabie wojskowym (IMS) przy kwaterze głównej NATO, wojskowym attaché w USA, poznał dokładnie procedury funkcjonalne Sojuszu, dysponuje świetną znajomością języka angielskiego i może właściwie zadbać o nasze interesy podczas obrad Komitetu Wojskowego czy Rady Północnoatlantyckiej. Znajomość poligonów, w tym przypadku, nie ma nic do rzeczy.

Makarewicz podaje też przykład awansowanego oficera, który będąc w stopniu majora, obsługiwał urządzenia multimedialne, zaznaczając, że sam będąc w takim stopniu, już dowodził pułkiem. To, że oficer wykonywał takie zadania, nie było jego winą, a raczej jego przełożonych, tymczasem obsługiwane multimediami przez majora jest taką samą patologią, jak dowodzenie przez majora pułkiem. Pułk, jak sama nazwa wskazuje, powinien być dowodzony przez pułkownika, major zaś, stopień pośredni między kapitanem a podpułkownikiem, to najczęściej stopień oficera sztabowego, w jednostce wojskowej typowym dla niego stanowiskiem jest szef sztabu batalionu. Jeżeli, jak utrzymuje Makarewicz, „kosmos dzieli podporucznika od generała”, to co najmniej galaktyka dzieli majora od pułkownika. W drodze do pułkownika czeka go długa i ciężka praca na różnych i wymagających stanowiskach. Dla przykładu, w armii amerykańskiej kapitan po skończeniu dowodzenia kompanią, jeżeli chce zostać dowódcą batalionu, a więc podpułkownikiem, musi przez co najmniej 10 lat pracować na różnych stanowiskach sztabowych. Pragmatykę kadrową Makarewicz akurat dobrze zna, sam wielokrotnie krytykował jej pomijanie. Przypomnijmy więc: major, szef sztabu batalionu, powinien zostać zakwalifikowany na kurs, następnie objąć stanowisko dowódcy batalionu, przez kadencję lub dwie poznać go od podszewki, następnie przejść kilka stanowisk sztabowych na różnych poziomach, im wyższych, tym lepiej, odbyć kolejny kurs, po czym, o ile z dotychczasowych

stanowisk uzyskał pozytywne opinie, zostać dowódcą pułku. Major dowodzący pułkiem nie jest sytuacją normalną, raczej awaryjną i też nie jest to winą danego oficera, ale raczej systemu, który takie awanse umożliwia. W poprzednim ustroju, tzw. socjalistycznym, o charakterze nakazowo-rozdzielczym, systemie permanentnych braków, niedobory kadrowe były normą. Dziury próbowano ratować wszelkimi sposobami. Stąd też podporucznicy dowodzili kompaniami i batalionami, majorowie, ale i kapitanowie pułkami, a podpułkownicy dywizjami. Osobiście znam przypadek podporucznika, który dowodził ponadstuosobową kompanią, nie mając przy tym ani jednego żołnierza zawodowego, żadnego dowódcy plutonu, szefa kompanii, czy personelu wspomagającego. Co warta była taka kompania, lepiej nie mówić. Podobnie niedojrzały dowódca pułku, może i podołałby obowiązkowi na poligonie, natomiast w twardych i nieprzewidywalnych z natury warunkach pola walki, jedną rzecz na pewno zrobiłby dobrze: wraz z pułkiem z honorem poległby na polu chwały.

Na zakończenie jeszcze jedna istotna sprawa wymagająca komentarza. Wpisując się w grono dyżurnych malkontentów, Makarewicz nie wierzy, że „Amerykanie zagwarantują nam bezpieczeństwo”, bo nie chcą skierować do stacjonowania na naszym terytorium kilku brygad. Argument nonsensowny merytorycznie, wojskowo i politycznie, którego jedynym wytłumaczeniem jest zachowana z czasów PRL niechęć do Stanów Zjednoczonych, głównego wroga Ludowego Wojska Polskiego, co akurat w przypadku Makarewicza, tkwiącego po uszy w tym systemie, już nie dziwi. Podważanie naszego bezpieczeństwa opartego na członkostwie w NATO, UE i strategicznym partnerstwie z USA to wywracanie całego systemu bezpieczeństwa euroatlantyckiego zbudowanego po II wojnie światowej. Ustanawianie niezmiernie kosztownych stałych baz wojskowych nie zmieni sojuszniczego potencjału odstraszania i nie wpłynie znacząco na nasze bezpieczeństwo, tę rolę mogą z powodzeniem odegrać inne środki technologii wojskowej. Politycznie natomiast prowadziłoby to do niepotrzebnej eskalacji napięcia, czego zarówno USA, jak i NATO chcą za wszelką cenę uniknąć. Wystarczy zapoznać się z deklaracją przyjętą podczas ostatniego szczytu NATO, która w stosunku do krajów partnerskich mówi o „wzmocnieniu stabilności bez potrzeby rozmieszczania znaczących sił bojowych”, co również można odnieść i do krajów członkowskich. Wiąże się z tym powtarzany często przez polityków, a ostatnio niestety także i przez prezydenta Andrzeja Dudę, postulat zwiększenia w Polsce obecności wojsk NATO. Postulat niezrozumiały i niepoważny. Polska jest siedemnasty rok w NATO, a więc każda, nawet najmniejsza nasza jednostka wojskowa jest jednostką NATO. Domaganie się, aby jakieś inne, w domyśle – lepsze NATO, przybyło do kraju i wzięło nas pod obronę, to po prostu okazywanie braku zaufania do polskiego wojska, i to przez osoby najwyższej rangi państwowej. Takie żądanie jest dla Polaków żenujące, a dla sojuszników dziwne i kłopotliwe. Zamiast tego lamentu powinniśmy krok po kroku, konsekwentnie, odrzucając wszelkie poboczne i nieistotne przepychanki, budować i umacniać zgodnie z sojusznicznymi standardami zdolność bojową naszych sił zbrojnych poczynając od pojedynczego żołnierza, wozu bojowego, samolotu i okrętu. Wtedy – może nie będzie trzeba do tego kolejnych 17 lat – uwierzymy w końcu, że NATO to my.

Puentując, o ile można by coś doradzić Redakcji, to aby pozwoliła odpocząć gen. Makarewiczowi, bo zmęczył się i opowiada bajki, nie zabawne, lecz śmieszne. Emerytura naprawdę może dobrze sprzyjać zrelaksowaniu i nabraniu dystansu.